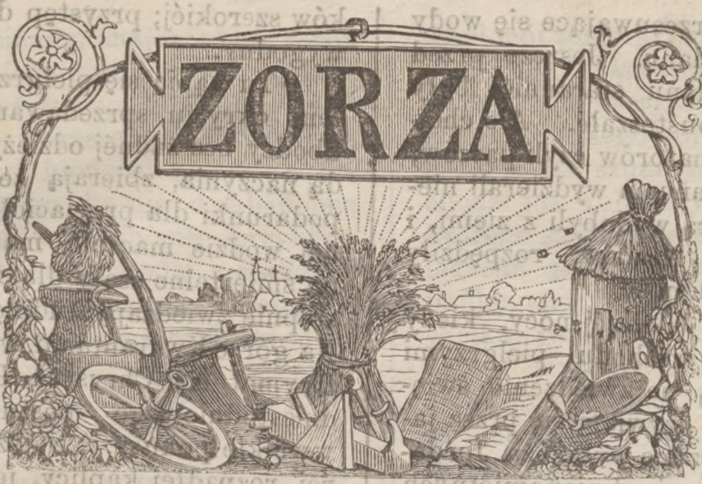
№ 18.

Rok 3.

CENA:

w Warszawie:
miesięcznie kop. 15 Złp: 1
w Królestwie i Cesarstwie
pod opaskami
gwartalnie kop. 62. (Złp. 4 2r. 4.) półrocznie rs. 1 kop. r4. (Złp. 8 gr. 8.) rocznie as. 2 kop. 48. (Złp. 16 gr. 16).
W kopertach półrocznie rsr 1 kop 70. (Złp. 11 gr. 10). rocznie rs. 3 40, (Złp 22 g. 20).



WARSZAWA
20 Kwietnia
2 Maja
1868 r.

Prenumerować można Zorzę:
w Warszawie w Redakcji Nr. 24 (nowy) ulica Nowy-Świat. — na prowincji w Królestwie: po Stacjach pocztowych. W Cesarstwie po Stacjach pocztowych lub za zgłoszeniem się listownem do Redakcji w Warszawie. (Nr. 24 ulica Nowy-Świat) końcową należność można nadsyłać markami pocztowemi.

PISMO NIEDZIELNE

DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

„Czyń każdy w swojem kółku, co każe duch Boży,—A całość sama się złoży."—*Kazimierz Brodziński.*

OPISY
ZIEMI ŚWIĘTÉJ.

Przełożył z niemieckiego
J. S. Jasiński.

I.

Rzeka *Jordan.*—Przy mieście Dan, gdzie wysokie skały Antylibanonu oddzielają Palestynę od północnéj Syrji, należącéj obecnie do Turcji, z głębokiéj a okropnéj przepaści wypływa wężykiem nowo powstały, szemrzący Jor-dan (*Dan* znaczy strumień). Żadne źródło nie jest tak wspaniałe, tak czyste jak źródło Jordanu; w półgodzinnéj odległości już staje się strumieniem, który spieniony szybko przebiega skaliste pochyłości, staczając się w parów zamknięty wysokiemi górami; tam zebrane jego wody tworzą niewielkie ale głębokie jezioro. Strumienie napływające ze wschodnich wzgórz powiększają je, i poniżéj wylew tworzy drugie większe jezioro zwane Merom. Z tego płynie znów wężykiem przez trzymilową dolinę do jeziora Tiberias (Genezaret). Z tych wspaniałych wodozbiorów, największy w Galilei ma obwodu 16 godzin; (1) nad jego to brzegami często przebywał Zbawiciel z gronem uczniów swoich. Przez całą długość tego jeziora przedziera się Jordan, a wypływając południową stroną, nabywa podwójnéj potęgi. Stawszy się już rzeką 140 do 200 stóp szeroką a 3 do 10 stóp głęboką, przepływa skaliste, nagie, lub zarosłe okolice, i po trzydziestogodzinnym biegu z północy na południe wpada w tak nazwane *Morze-martwe.*

Brzegi Jordanu, niegdyś jaśniejące ludnemi miastami, polem pięknie uprawnem, od czasu wyniszczenia Żydów za cesarzów rzymskich Tytusa i Wespazjana stały się prawie puste. Znikły kwieciste ogrody, winnice, urodzajne niwy; gdzieniegdzie tylko napotyka się brudne wioski, wyjałowioną rolę, miejsca lichego schronienia i nędzy. Kilka namiotów przeciągających Beduinów, nie zmniejsza wrażenia samotni i pustkowia, —ogromne zwaliska wielkich budowli, świątyń i zamków z czasów Rzymskich i dawniejszych (2), poglądają smutno na jasne,

(1) W wielu krajach górzystych odległość zamiast na mile, liczą na godziny, gdyż zresztą trudnoby tam mierzyć przestrzenie milamì, po skałach gòrach i wąwozach, ktôre nieraz długo trzeba dokoła obchodzić, żeby się z nich w dąlszą drogę puścić.

(2) Rzymianie stali się znanymi światu na lat 754 przed Narodzeniem Chrystusa Pana; państwo zaś ich znikło w lat 476 po Narodzeniu Chrystusa.

szybkie i z łoskotem przesuwające się wody owéj świętéj rzeki Jordanu. Jeszcze przed stu laty okolice Jordanu staranniéj były uprawiane i nie tak opustoszałe. Ale chciwość tureckich gubernatorów czyli paszów, którzy ubogim mieszkańcom wydzierali niemal wszystko, co pracą wydobyli z ziemi, i obawa rozbójniczych Arabów, rozpędziły szczupłą, bezbronną ludność.

Tylko w czasie Wielkiéj-nocy, kiedy ze wszystkich części wschodu pielgrzymi chrześcijańscy śpieszą na zwiedzenie świętych miast Palestyny, ożywiają się przez jakiś czas ciche, opuszczone wybrzeża Jordanu. Trwa bowiem zwyczaj od niepamiętnych czasów, że przybywający przyjmują jakby powtórny chrzest, w téjże saméj rzece, w któréj go przyjął Zbawiciel świata. Dla bezpieczeństwa przeciw włóczącym się Beduinom, pielgrzymi otrzymują pomoc, i główną karawanę zwykle z 1,000 osób złożoną, prowadzi osobiście wojskowy dowódca z Jerozolimy. Po zwiedzeniu grobu Chystusa, zebrani pielgrzymi w Poniedziałek po Wielkiéj-nocy wybierają się w drogę, zatrzymawszy się w Bethanji, o północy przy przy pochodniach śpiewają hymn przy grobie Łazarza. Z Bethanji idzie droga przez głębokie, skaliste doliny na równinę Jericho, zwaną niegdyś rajem Palestyny; dziś stała się ona siedliskiem wilków, przed których napadem pasterze trzody swoje bronią w nocy rozłożonemi wielkiemi ogniami. Na wyżynie, z któréj cudny odsłania się widok, obozuje karawana. Widać Morze-martwe i Jordan w ośmiogodzinnem oddaleniu, który jak szeroka srebrna wstęga spada z równiny i znika blisko morza między wzgórzami i lasem.

Po wypoczynku i posiłku, pątnicy, t. j. pielgrzymi do miejsc świętych, różnéj narodowości i wyznania, gromadzą się pod swoje chorągwie, i każdy oddział pod przewództwem kapłana śpiewając, idzie przez lasy wysokich platanów (jaworów) i drzew oliwnych ku Jordanowi, do miejsca, które według podania, przebyli Izraelici z Jozuem wchodząc do Ziemi Obiecanéj. W miejscu tém prawdziwie uroczem, otoczonem wysokiemi skałami, ocienionem drzewem, toczą się szybko do morza wody rzeki 100 kroków szerokiéj; przystęp do niéj nadzwyczaj wygodny.

Tu kąpią się pielgrzymi, bogatsi w białem okryciu, sprzedawanem w Jerozolimie, ubodzy bez żadnéj odzieży. Napełniają wodą naczynia, zbierają ze dna kamyczki na podarunki dla przyjaciół, inni w poświęconéj wodzie maczają materje, przeznaczone na śmiertelne szaty dla siebie i swoich. Następnie zwiedzają studnię świętéj Elżbiety. Na górze Kwarantanai, według podania, zatrzymał się Chrystus Pan w czasie czterdziestodniowego postu, wystawiony na wszelkie pokusy. Na szczycie jéj przy starej, rozpadłéj kaplicy, jest mnóstwo jaskiń, które niegdyś były mieszkaniem pustelników.

Pobożna pielgrzymka kończy się przy morzu Martwem. Droga do niego prowadzi przez piaszczystą, bezdrzewną równinę, następnie przez głębokie parowy i ziemię skałami poprzerzynaną. W miarę zbliżenia się do morza Martwego, roślinność coraz uboższa, wysokopienne drzewa zastępują karłowate krzewy,— twardą i ostrą trawą podobną do trzciny zasłana ziemia. Nie słychać śpiewu ptaka, nie widać gazelli— tamtejszéj dzikiéj kozy, nawet motyla. Tama wysoka z rozpadniętych skał tworzy brzeg od strony Jeriho; dopiéro po wejściu nań ukazują się oczom ciche wody, zalewające 11 mil długą a 4 do 5 mil szeroką przestrzeń prześlicznéj doliny, w któréj Sodoma i sąsiednie jéj miasta, zbytkami i rozpustą sciągnęły niegdyś na siebie gniew Boga. Przerażającym jest widok morza Martwego. Jakby kamienna płaszczyzna ciemno szafirowa, pokryta lśniącą szaro-żółtą skorupą oleju skalnego, nieruchomą przedstawia się oku. Na wybrzeżach jéj nie ma najmniejszéj roślinności, nawet mchu,—wszystko w około przedstawia zniszczenie i śmierć. Łomy skał zalegające brzegi, okryte są cuchnącym, czarnym, kleistym szlamem, a nagie pnie drzew naniesionych rwącym Jordanem sterczą gdzie niegdzie, jak czarne widma roślinnego świata. Widać także i szkielety ryb napędzonych wodami Jordanu w morze, w którem wszystko życie zamiera. Liczne źródła nafty i siarki, wytryskają w pobliżu, a przy północno-wschodnim brzegu,

o kilka stóp pod ziemią, znajduje się czarna massa, podobna nieco do bursztynu, z któréj wyrabiają krzyżyki, sprzedawane w Jerozolimie. Tylko chrześcijanie zwiedzają te wybrzeża śmierci; kiedy niekiedy koczujący Arab, poglądając na nie z zabobonną trwogą, kryje się w jaskiniach przybrzeżnych, z których nocą wychodzi z szakalem pustyni czyli tamtejszym dzikim psem, na rozbój lub rabunek trzód pasących się w dolinach.

LIST JACKA NIEPOWIE

do

Pana, co Zorzę wydaje.

O rzeźnikach zdrowia ludzkiego, czyli o pokątnych lekarzach.—Wybory żon. —Sokołowianie. — Sąsiad od siedmiu boleści!.—Sobkostwo.— Prawda w oczy kole.

Dawno już nie pisałem do ciebie, szanowny Panie, bo trapiły mnie różne troski, w których trudno było myśli w porządek zebrać, aby je przelać na papier. Chorowała mi żona, z którą żyję lat kilkanaście nader szczęśliwie, bo kobieta istny anioł, a co mnie w tém trapiło najwięcéj, że niebyło wówczas pana Maleszewskiego doktora w domu, o którym to raz w liście pisanym do Pana wspomniałem,—był bowiem na wsi. Raili mi sąsiedzi to zamawianie, to baby pokątne lekarki, to takich jak one oszustów, co się śmią doktorami nazywać, a którzy to zaprzedawszy djabłu sumienie, zabijają ludzi dla wyłudzenia nikczemnię grosza od łatwowiernych, —raili, abym z nich kogo wezwał do żony, ale nie robiłem tego, mam ich bowiem za istnych rozbójników podobnych tym, co napastują podróżnych po drogach, z tą tylko różnicą, że tamci kryją się po lasach, a ci po zaułkach wsi, i miasteczek. Smiałem się z tych, co mi podobne sposoby ratowania chorej doradzali, bo w zamawienia nie wierzę jako chrześcijanin, a którém uwodzą się głupcy, co Bogu nie ufają, a z pokątnymi rzeźnikami nie wdają się: widziałem bowiem z ich rad wiele nieszczęść. W moich oczach umarł mój znajomy, któremu taki pokątny doktór *Jugo, co kuruje niedługo*, na ból gardła puścił krew z języka; drugiego tenże sam nabawił strasznego bólu głowy, puściwszy krew z czoła na szum w uszach, tak że dotąd chodzi jak obłąkany.— Tak też mój sąsiad, którego serdecznie kochałem, gdy mu baba lekarka postawiła garnek na żołądku, jako bańkę, poczém zrobiła mu się wewnątrz wielka twardość, chorując kilka miesięcy, w strasznych mękach dokonał życia, osierociwszy żonę i kilkoro dziatek. Tym też sposobem bogaty siodlarz w naszem miasteczku stracił syna, który dostawszy czarnéj krosty, wezwał do siebie oszusta; ten karmiąc go proszkami, jak się potém pokazało, tartemi z cegły, i senesem siekanym z miodem, chłopaka zdrowego, silnego, a nadewszystko poczciwego sprowadził ze świata,—poszedł gryść żiemię. Pamiętny na to wszystko, kto mi tylko coś podobnego radził i słuchać nie chciałem; a doktorkę żydówkę, która przyszła raić mojéj żonie wysmarowanie, wysmarowałem jéj plecy kijem, że uciekła krzycząc podług swojego zwyczaju: gwałt! zabił!... Bezbożnica ta smarowaniem takiém już kilku żydów wyprawiła na kierkut, jednemu gdy tak wybejcowała nogę zranioną, całe na nim ciało skancerowało się, że nim umarł, prawie obgniło od kości, i biedak w strasznych mękach skonał. Szczęscie, że byłem wtedy w domu, gdy przyszła żydówka, bo kobiety jako zawsze łatwowierne, od czego i moja żona nie wolna, chciała pozwolić na smarowanie. Moja droga! —rzekłem oburzony—czy podobna, abyś jéj wierzyła, przecie wiedzieć ci należy, że chcąc komu radzić, trzeba na to uczyć się długie lata, jak się uczą doktorzy, przeczytać ksiąg bez liku; a zkąd taki oszust, co często czytać nie umie, nabrać może potrzebnéj nauki, zkąd wiedzieć, jakie zioła zdatne na leczenie gorączki, które do zagojenia rany sposobne, jakie razem zmięszane lekarstwa wspólnie działając, leczą chorobę? I ledwo jéj to wybiłem z głowy. Widząc ją co raz słabszą, bo zaczęła już majaczyć, zrywać się, nie wiedziałem, co robić, ale wyszedłszy na miasto, dowiedziałem się, że przybył do Sokołowa dobry lekarz pan Urbanowicz, że już parę osób szczęśliwie

wyleczył z ciężkiéj choroby, o czém nie wiedziałem, bo jakiś czas nie byłem w domu. Pobiegłem przeto zaraz do niego, i przyprowadziłem do choréj; obejrzał ją, obstukał, wyegzaminował bardzo troskliwie, i zadecydował, że żona moja ma mocny tyfus; mała nadzieja była jéj życia, parę razy dysponowała się na śmierć. Wezwany doktór, niech mu Bóg nagrodzi, po wielu trudech wyrwał ją z rąk chciwéj śmierci, ale też pielęgnował ją jak jaką księżnę, która mu za te trudy mogła tysiącami wynagrodzić; ja zaś przy szczupłem wynagrodzeniu mogłem mu tylko dozgonną wdzięcznością zapłacić.—Mimo to chodził do niej w dzień kilka razy, ba! nawet w nocy przesiadywał, a chorobę obserwował; przepowiedział dzień a nie ledwo godzinę przesilenia, po czém rzekł do mnie: nie twórz się, żona żyć będzie, i to powiedział z taką pewnością, jakby mógł życiem i śmiercią rozporządzać. Ztąd poznałem, że to doktór jakich mało, a tém więcéj utwierdziłem się w tém przekonaniu, gdy zachorowała przyjaciółka mojéj żony kobieta wielce poczciwa, Krysztoszek; cierpiała bicie serca, żałowałem jéj mocno, i zmartwiłem się srodze, dowiedziawszy się, że jéj pan doktór wróży tylko dwa tygodnie życia, co się akuratnie stało, jak jéj to przepowiedział,—otóż to mi nauka!...

Muszę tu jeszcze powiedzieć na dowód, że mam słuszne uprzedzenie do pokątnych leków, to, iż właśnie wtedy, kiedym prowadził do mojéj żony doktora, mój sąsiad Mateusz wiódł do swojéj także na tyfus choréj oszusta, aby mu ją w kuracyją zwierzyć; spostrzegłszy to, przystąpiłem do niego i rzekłem:

— Widzę, chcesz żonę oddać do szlachtuza?

— Jakto? zapytał mnie zdziwiony

— Bo prowadzisz do niéj rzeźnika, rzekłem —idzie oto ze mną doktór do mojéj żony, weź go, bo żebyś potém nie żałował!.

Nie słuchał mnie—i umarła mu kobiecisko, bo łotr, którego do niéj wezwał, zastawszy ją w ziębieniu,napoił grzaném piwem z korzeniami, i odrazu zabił: do ognia dodawał ognia,po ziębieniu zwykle następuje gorączka, więc też po piwie dostała takiéj, że wylatywała z chałupy na ulicę, aż ją ludzi kilku pilnować musiało, nareszcie wiązano ją biedną do łóżka, nie mogąc sobie dać rady,bo nikt utrzymać jéj nie mógł. Żałował potém głupiec,że mnie nie słuchał, ale po niewczasie,—mądry Polak po szkodzie!

Nic tak w domu nie trapi jak choroba; lepsze od niéj ubóstwo przy zdrowiu. Jak mi żona chorowała, chodziłem jak obłąkany, bo mam kobietę zacną, pracowitą, pobożną; wziąłem bowiem dziewczynę z dobrego gniazda, to jest z domu poczciwych rodziców, nie oglądając się na majątek. Nic nie miała, cnotę tylko wniosła mi w dom cenniejszą od złota,—a są takie warto-głowy, co biorą sobie żony z domów, gdzie zgorszenie, obraza boska; nie baczą na rodziców, aby tylko ułowić grosz zebrany kradzieżą, oszukaństwem, który zawsze przepada marnie bo niecnotą zdobyty. Albo żenią się z kobietami podejrzanemi, bezwstydnemi,— patrzeć na to nie mogę bez wstrętu. Był taki przykład w naszem mieście; chłopak młody, hoży, ożenił się z kobietą złego życia, myśląc, że ma duże pieniądze, bo chodziła w materjach, kapeluszach,zasłaniając się od słońca parasolką; ale się biedak oszukał: nic mu po ślubie nie wniósła jeno wstyd tylko; śmieli się też z niego chłopacy, a szczególnie dziewczęta aż się za boki brały, szydząc z jego wiana. Chodził po tém jak struty zaułkami miasta, wstydząc się ludziom patrzeć w oczy. Dziwię się rodzicom, co synom na takie związki pozwalają.—Byłem proszony na to wesele,—szli na nie ludziska, aby się napić, i najeść, bo są tacy, co nie wybierają miejsca, wleką się byle gdzie, aby tylko módz zalać głowę trunkiem; ja zaś lubię pójść na wesele, ale na takie, gdzie łączy stadło miłość, i wspólny szacunek lecz nie wyrachowanie i podłość.—Poszedłszy na nie okazałbym, że pochwalam ten wybór, a ja patrzałem na to z oburzeniem, aby dla marnych pieniędzy oblekać się w bezwstyd, łączyć się z kobietą zepsutą, obierać ją za matkę swoich dzieci, które przykładnie wychować nie potrafi, a pewniéj na bezdroże wprowadzi, po których sama się błąkała. Synowi memu raczéj nie pozwoliłbym nigdy się żenić, abyśmy potém oba nie zdawali rachunku przed Bogiem, za pogubione ztąd owieczki!...

Oprócz zmartwień domowych, miałem jeszcze i inną nieprzyjemność, — może dla kogo byłaby ona małą rzeczą, ale mnie, gdy widzę między ludźmi obojętność, nieżyczliwość, samolubstwo, co to każe pamiętać tylko o swojém dobru, a bliźniego mienie lekce sobie ważyć, mocno to dolega, bo to oddala od nas łaskę Boską i opóźnia przyjście Królestwa Bożego na ziemię!.. Ztąd muszę to zdarzenie opisać dla nauki.

W Sokołowie miaszkający urzędnicy najmują sobie niekiedy ogrody na warzywa sąsiadujące prawie zawsze z ogrodami mieszczańskiemi,— gdy który z mieszkańców swój sprzątnie, zaraz płot rozgradza, nie wchodząc w to, że tém szkodę przynieść może sąsiadowi, bo wtedy trzoda, bydło wchodzą bez przeszkody, niszczą zasiewy, często z trudem wypielęgnowane. Tak się stało zeszłego Października; ztąd jednéj z urzędniczek wszystką w ogrodzie kapustę, buraki,włoszczyznę, ziemniaki, fasole, proso, trzoda i bydło zniszczyło. Zobaczywszy to biedaczka aż ręce załamała z wielkiego żalu;—znieść tego bez oburzenia nie mogłem, poszedłem przeto do mego sąsiada, który był tego przyczyną i rzekłem:

— Panie Marcinie! miałeś ty Boga w sercu, kiedy przez rozgrodzenie płotu tyle szkody téj pani zrobiłeś, co obok twego ogrodu warzywo zasiała?... Nie lękasz się kary, która za to spaść może na twoją głowę?...

— Co mi tam djabli do niéj!—odrzekł hardo prostak —albo to moje, a czemuż się nie pilnowała i z ogrodu nie zebrała.

— Bezbożniku! zawołałem zgrozą przejęty, że nie twoje, to można już było na szkodę wystawiać?... Wiedz o tém, że póki nie będzie między ludźmi poszanowania cudzéj własności, nie będzie dobrze na świecie, bo nie będzie między dziećmi Bożemi téj miłości, którą im Stwórca zaleca,—nie wiesz, co mówi święty Jan apostół: „że kto ludzi nie miłuje, nie zna Boga, gdyż Bóg jest miłością, a kto mieszka w miłości, w Bogu mieszka a Bóg w nim“ przeto gdyś taką szkodę bliźniemu wyrządził, nie mieszkasz w Bogu, ani Bóg w tobie. Słyszę nieraz, jak co wieczór mówisz na głos z dziećmi pacierze, jak nabożne pieśni śpiewasz; ale mimo to nie jesteś prawdziwie pobożnym człowiekiem, bojącym się Boga, kiedy źle postępujesz; jesteś faryzeuszem, ale nie oszukasz Boga obłudną modlitwą. On chce uczynków. Uczysz dzieci pacierza, a nie uczysz ich, jak to się postępkami chwali Stwórcę. A żeby to tobie kto taką szkodę zrobił, i zniszczył ci owe piękne buraki, ziemniaki, kapustę, za które dziś zbierasz pieniądze, co byś powiedział? Pamiętaj-że od dziś dnia na tę zbawienną maxymę: nie czyń tego drugiemu, co tobie nie miłe, a wtedy płotów ze szkodą drugich rozgradzać więcéj nie będziesz. Na te moje słowa, milczał — a ja dodałem:

— Żyliśmy z sobą po sąsiedzku, a teraz mój bracie, znać cię nie chcę,—noga moja na twoim progu nie postanie, aby nie powiedziano, że się towarzyszę z bezbożnikiem, co miłosci Boga i bliźniego w sercu nie ma; bądź mi zdrów,—i odtąd ani z nim mówię, ani się witam, przechodzę jak około nieznajomego.

Co mnie mocno gniewa, i smuci razem, że tacy ludzie jak mój sąsiad Marcin, są prawie zawsze nabożnisie; znam takich, że w Piątki, Środy legają po godzinie przed świętemi obrazami, chodzą po odpustach, poszczą, a miłości w sercu ani iskierki nie mają! Oszuka, podejdzie, obmówi, pieniądze da na lichwę, sługę, robotnika na zapłacie ukrzywdzi, a potém daléj do modlitwy, bije się w piersi, policzkuje, i sądzi, że Bóg to człowiek: gdy go obrazisz, da się omanić prośbą, podchlebstwem, słodkiem słówkiem, udaną pokorą! Patrząc na takich, zaraz sobie przypominam owych faryzeuszów, co to byli pozornie nabożni, udawali cnotliwych, a wewnątrz serca chowali fałsz, obłudę, —dobrze ich wystawia wiersz Biskupa Ignacego Krasickiego, który tu przytoczyć muszę, bo mam o tém książk:

„Paweł trzech mszy wysłuchał,
Zmówił cztery różańce, na gromnice dmuchał;
Wpisał się w bractwa wszystkie, dwie godziny klęczał,
Krzywił się, szeptał, mrugał, i wzdychał i jęczał,
A pieniądze dał w lichwę. Swięte są pacierze,
Zdatne bractwa, lecz temu, co daje, nie bierze.
Syp fundusze, a kradnij: Bóg ofiarą wzgardzi.
Tacy byli mniemaną pobożnością hardzi —
Owi faryzeusze, i wyschli i smutni,
A w łakomstwie niesyci, w dumie swéj okrutni,
Mściwi, krnąbrni, łakomi, nieludzcy oszczerce.

Próżne Pawle ofiary, gdzie skażone serce!
Krzyw się, mrugaj, bij czołem, klęcz, szeptaj i dmu-
Zmów różańców bez liku, bez liku mszy słuchaj,[chaj,
Jeśliś zdrajca, obłudnik, darmo kunsztu szukasz,
Możesz ludzi omamić—Boga nie oszukasz?"

Po części samiśmy winni, że podobnie złych dużo jest na świecie, co zapominają obowiązków chrześcijańskich, nie myślą o Bogu, praw ludzkich nie szanują, sławę cudzą szarpią, kłamstwem i oszczerstwem się bawią, są opilcami, krzywdzicielami.—Możeby miły panie, lepiéj było od takich ludzi stronić, gardzić nimi, i do towarzystwa uczciwych nie przypuszczać. Widząc się oni tak pogardzonymi od wszystkich, weszliby łatwiéj na drogę obowiązków uczciwego człowieka.—Ale cóż? kiedy to w tém polityka, bojemy się kogo narazić sobie, aby o nas źle nie mówiono, i przez to grzeszne samolubstwo dajemy zachętę do złego, przestając z podejrzanymi ludźmi, bo taki bezbożnik, oszust, oszczerca widząc, że nikt prawdy mu nie powie, zdrożności jego na oczy mu nie wyrzuci, że z nim wszyscy żyją za pan brat jakby z najgodniejszym, rośnie w pychę i jeszcze posuwa się do tego, że się ośmiela najpoczciwszych ludzi spotwarzać, obierać z dobréj sławy. Widzę ja to, widzę tę grzeszną powolność we wszystkich stanach, bo się nie z jednego pieca chleb jadło,— czyni to między ludźmi brak zamiłowania prawdy, co największe złe wyradza. Prawdę, którą nam nasz dobrzy Ojciec w Niebie przekazał za przewodniczkę w życiu, za doradcę, prawodawcę, jako niepotrzebny sprzęt uważamy, czyniący złym namiętnościom naszym niedogodę. Obrażamy się nią, i z moich czytelników nie jeden może, nie lubiący prawdy, poczuwający się do złego, czytając ten ustęp, gdy mu prawda słów moich zakole w oczy, powie: nie w swoje rzeczy wdaje się mieszczuch, lepiéj by pilnował roli, lub pociągla!—ale mój miły obrażony czytelniku, jeżeli tak sądzisz, to mijasz się z prawdą, do wypowiedzenia jéj ma każdy z nas prawo, pan i prostaczek. Skarb to przez Boga nam dany do wspólnego użytku, ale że przenosimy skarby ziemskie dogadzające ciału, ztąd skarb prawdy leży odłogiem; mało go kto zażywa, dla tego też między nami tyle fałszu, obłudy, płaszczenia się, i różnego rodzaju złego.

Ja wyznam prawdę, bo ją miłuję nad życie. że niejednemu źle postępującemu, jak oto Marcinowi, wyrzucę bez ogródek niegodne postępki na oczy. Mam ztąd nieprzyjaciół, ale o nich nie stoję; wolę przekonanie, żem spełnił obowiązek summiennego człowieka, karcąc słowami prawdy niegodziwość.

Odpłacają mi za to oszczercy obmową, z czego się zawsze uśmieję serdecznie; biedacy, chcieliby złym językiem obrukać co najwięcéj ludzi, aby mieć ich wielu do siebie podobnych,—litość mnie nad nimi bierze- bo obmówców Bóg srodze zchłoszcze, zsyła nieomylną karę jeżeli nie na nich samych to na biedne ich dzieci. —Znałem jednego takiego obmówcę, któremu sparaliżowało język, że do dziś dnia bezmowa.

Sokołów, w miesiącu Lutym 1868 r.

KURPIE.

Panie bracie!
Czy też znacie
Kurpi ród.
Niskie haty,
Lecz za katy
Czerstwy lud.

To nie gocie (*) ale pany,—
Własne haty, własne łany;
Bury sukman na ramieniu,
Długa strzelba na rzemieniu.
Nogi w łyczkach, kurpia kuma,
Ale wąsy jak u suma.
Wić, gdzie lisa w sidła złapie,
Niby kot na barć się wdrapie,
Trafne oko—krzepkie ramię,
Jak uściśnie, kości złamie.
By krew z mlékiém, gdy się zbierze,
Takie rześkie tam dziewczyny;
Dłonie szorstkie, lica świeże
By korale jarzębiny.
Gdy mróz w oczy igły ciska,
W polu głodne wrony kraczą,
Siadaj z niemi u ogniska;
Gościa krupnikiem uraczą...
Zajdź w zwierzyniec
Pod Myszyniec,
Tam ci Kurpiów żyje wnuk,
I ta stara
W sercu wiara,
Jeden Bóg.

(*) Tak nazywano tych Kurpiów, co odrabiali pańszczyznę.

Teraz znacie
Panie Bracie,
Kurpi ród.
Niskie haty
Lecz zakaty
Dzielny lud.—

Michał Morzkowski.

RÓŻNOŚCI.

LEGREN
CYGAN PARYSKI (1).

Rzadko znaleść miasto złożone z tak różnorodnych narodów jak stolica Francji—Paryż. Jednak ten sam Paryż ma taką siłę przyswajania, że każdy obcy po dłuższym tam pobycie zmienia się w Paryżanina. Tytko jedna klassa ludzi żyje w Paryżu, na którą nic dotąd nie było w stanie oddziałać: są to Cyganie. Jako odwieczni koczownicy mają i tu wstręt do stałego osiedlania się w miejscu. Zamieszkują Paryż w czasie zimy i to nie w domach lecz w mieszkaniach przenośnych w rodzajach namiotu. W obszernych podwórzach lub na placach pustych stoi wóz otoczony różnemi gratami, umocowany gruzem, mający zewnątrz podobieństwo do małego zniszczonego omnibusu i to jest mieszkaniem familji cygańskiéj. Naczelnikiem téjże jest Legren, starzec siedmdziesięcio letni, który przez długi przeciąg koczującego żywota zwiedził wiele krajów i doznał dużo przeciwności.

W czasie zimy żyje w Paryżu około 50 familji cygańskich, trudniąc się różnemi rzemiosłami, które żadnego stałego zamieszkania nie wymagają, jako to: koszykarstwem, kotlarstwem lub muzyką. Inni obsługują pracownie malarzy i rzeźbiarzy, inni oprowadzają małpy i psy wyuczone. Są wyznania Rzymsko-Katolickiego lecz tylko z nazwiska. Nie odwiedzają kościołów i tylko dla interesów mają stosunki z Paryżaninami. Między sobą żyją w ścisłych stosunkach przyjaznych: nie tylko bowiem się odwiedzają, lecz wspierają się wspólnie i dzielą zarobkiem. Z Francuzami mówią po francusku i w każdym kraju z krajowcami mówią ich językiem, między sobą zaś mówią po cygańsku to jest mową, któréj źródło jest indyjskie; bowiem z Indyj azjatyckich przed wiekami przywędrowali Cyganie do krain europejskich. Skutkiem upływu czasu mowa ich podległa także różnym zmianom. Cyganie żyjący w Niemczech i Węgrzech posiadają najlepiéj swój język, w Hiszpanji zaś żyjący, gorzéj, lecz wszyscy między sobą dobrze się rozumieją.

Życie ich familijne nie jest oparte na prawném z sobą połączeniu, lecz niewiara jest rzadkiem u nich zjawiskiem i była dawniéj, jak Cyganie w lasach mieszkali, strasznie srogo karaną. Kobieta, która się dopuściła przeniewierzenia, musiała przed ogólnem zgromadzeniem podnieść rękę, a obrażony strzelał do niéj. Legren był naocznym swiadkiem takiéj kary w swéj młodości i zapewniał, że wrażenie, jakiego doznał, pomimo szeregu lat dotąd ma jeszcze w pamięci. Gdy zaś panna była pod podobnym zarzutem, ucinał jéj włosy ojciec albo brat, co było uważane za wielką sromotę; jednak ta surowość oddziaływała korzystnie na moralność.

Cyganie nie ulegają chętnie prawu, lecz byli i są p oczęści jeszcze teraz niewolnikami swych zwyczajów i obyczajów. Cyganka łączy się bardzo często bez wiedzy rodziców z młodym człowiekiem i stara się następnie o pozwolenie rodziców; lecz odtąd staje się przykładną małżonką.

Łączenie się Cyganek z białymi, to jest Europejczykami, nigdy nie ma miejsca, a chociaż Cyganki niektóre są cudnéj urody, i mogłyby znaleść szczęście w stolicy; przekładają jednak życie tułacze. Cyganki lubią łakocie, najwięcéj zaś jeża, którego nad inne potrawy przekładają i ciągle nań polują w okolicach Paryża mianowicie w lasku Fąteneblo, szczególniéj w Październiku, w którym to czasie mięso jego jest najsmaczniejszem.

W czasie zimy są najnieszczęśliwsi, gdyż mieszkają pod gołem niebem; przeto są narażeni na ciągłe zmiany powietrza. W Paryżu trudno o zarobek na utrzymanie życia mianowicie dla nich, gdyż niechętnie pracują. Skoro wiosna się zbliża, opuszczają swe zimowe leże i rozchodzą się w różne strony

(1) Opowiadanie zastosowane z pism francuskich.

kraju. Ten pociąg do życia na wolnem powietrzu jest tak gwałtowny, że tamy mu kłaść niepodobna. Cyganka Magdalena znana w Paryżu, jako modelistka dla malarzy, to jest, że stawała za wynagrodzeniem do odmalowania, opowiadała następne słowa: Siedząc w Marcu jako model w pracowni pewnego malarza, myślałam tylko o mojéj postawie, z któréj malarz zdawał się być szczególnie zadowolonym. Po pewnym czasie powietrze w pracowni było ciężkiem, i malarz otworzył okno; skoro to uczynił, a ja zobaczyłam zieloność drzew, których wierzhołek słonko ozłociło, wtedy nie byłam już w stanie, pomimo próźb do rospaczy przywiedzionego malarza, dłużéj w pracowni pozostać. Uciekłam pędzona dziwnym pociągiem wewnętrznym w pole, aż doszłam do sąsiedniego miasteczka, gdzie długo biegałam po zielonym kobiercu; nareszcie położyłam się w cieniu drzew, patrząc w niebo i ciągnące chmury. Późno wieczorem wróciłam do Paryża i mnie się zdaje, żeby mi serce pękło z żalu, gdybym nie była opuściła pracowni. (*dokoń. nast.*)

— Powiadają, że dwie gąski i dwie żaby, dwa handle i dwie baby, to gorsze niż najlepszy jarmark w Łowiczu. Ale czasem to i dwie panny popiszą się jeszcze lepiéj,—bo oto proszę Państwa, jak się rzecz ma cała. Kiedym przed pięciu laty mieszkała na Tamce na facjatce, to całemi dniami nasłuchałam się przeróżnych fałszywych trelów dwóch panien z pierwszego piętra, którym i ojczulko (wcale nie słowik) wtorował i codzień kazał śpiewać pewnie dla wprawy, gammy, to z dołu do góry *do*, *re*, *mi*, *fa*, *sol*, *la*, *si*,—to z góry na dół *si*, *la*, *sol*, *fa*, *mi*, *re*, *do*. Aż oto pięć lat jak raz upłynęło teraz na ósmego Kwietnia, kiedy wprowadzili się nowi lokatorowie do nas przez ścianę, i masz tobie! znowu się rozlegały te same trzy głosy jak rozdęte dwa klarnety z fagotem wrzeszczącym: *do*, *re*, *mi*, *fa*, *sol*, *la*, *si*, i na odwrót *si*, *la*, *sol*, *fa*, *mi*, *re*, *do*. A to skaranie Boże, proszę ja Państwa kochanych, jakeśmy się to teraz wszyscy rozśpiewali i rozmuzykowali! Nawet kataryniarz, co chodzi sobie do nas po bułki, nazywa się już artystą. — To mi przypomina ową bajkę, że kiedy konia kują, to i żaba nogę nadstawia. A coby to te biedne panienki mogły były narobić dobrego przez tyle godzin, żeby je choć na robienie pończoszek użyły!. I mój Gabryś nawet już zapowiada, że mi kupi jaki klawikort i nóty, a ja mu na to:


Kumoszka całego świata.

Kto się męczy śpiewem, graniem,
A fałszuje ciągle nóty,
Mojem zdaniem,
Niechaj lepiéj szyje bóty!

— A z tego wszystkiego to mi się przypomina znowu inna rzecz. W tych dniach była przymusowa licytacja w jednym sklepie. Zbiegło się tam zaraz dużo przyjaciół-ludzkości i haru—haru! zmówili się z sobą i daléj nabywać więcéj niż za pół darmo różne rzeczy. W tem komornik woła: „Zegar bronzowy pod szkłem! ośm rubli! kto da więcéj?“ Jakaś pani mówi: 8 i pół; a jakiś przyjaciel ludzkości powiada *dziewięcz rublów*! Pani mówi: 9 i pół, a przyjaciel ludzkości szepcze jéj do ucha: „*Sianowne* pani niech mi nie przeszkadza, to ja kupię taniéj tego *zegara* dla pani, a za t.. dostan.. *rebochem*“ Pani się zgodziła, przycichła, a przyjaciel postąpił pół rubla, komornik zawołał: i po raz trzeci! i oddał przyjacielowi śliczny zegar za 10 rubli, co rodzonemu bratu wart był trzy razy tyle. Pani owa mówi:

„Oddajże mi teraz kupiec, zegar, a ja dam umówione odstępne.“—„A na co tego? — zakrzyczał przyjaciel —co to jest? bo ja to dla pani kupowałem, .y co? to rozbój! *hast te gezeen*?—rzekł do drugich— powstał gwar, szum i pani odeszła z kwitkiem.

Byłam i ja też na téj licytacji, proszę ja państwa, i widziałam zmartwienie okpionéj pani i wesołość kupców. Mój Gabryś powiada; że ten *ptaszek* z zakrzywioną laską należy do bractwa miłosierdzia, co to lichwiarskiemi procentami obdziera ze skóry biednych, i nazywa się *Dzięcioł*. Ma on podobno taki węch, że zawsze trafi na minutę tam, gdzie jego dłużnikom wypłacają miesięczne pensje, a taki jest cierpliwy, że chętnie poczeka na ratę, byle mu tylko za przedłużenie jéj zapłacić rubelkiem.

Zagadka.

Dwadzieścia pięknych, 30 silnych, 50 mądrych, 80 poczciwych, a 100 anielskich —?.

Znaczenie poprzedniéj Zagadki: *woda*, *ziemia*, *trzcina*.

Redaktor i Wydawca Józef Grajnert, pod Nr. 24 (nowym) ulica Nowy Swiat. — W druk. I. Krokoszyńskiego.—

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.